

Lustro Iluzyna i cztery inne miniatury



Bartosz Adamiak



Lustro Iluszyzna i cztery inne miniatury

Wrocław 2019

Księgarnia Adamiak

<http://bartoszadamiak.com/>

Gentlemanii się nie tłumaczq

Lustro Iluszyna

Zatrzymałem się i rozłożyłem mapę, by upewnić się, że nie chodzę w kółko. O utratę orientacji nietrudno, kiedy wszystko wokół wygląda identycznie – tak samo zapuszczone domy, tak samo powybijane szyby w oknach, tak samo dziurawe dachy. Jednak to musiał być Zielonogradskij, zatem Zimogorye musiało znajdować się jakieś dwa, trzy kilometry dalej.

Starannie złożyłem mapę i schowałem ją do kieszeni na piersi. Stanowiła istotną część mojego majątku. Nie mogłem sobie pozwolić na przypadkowe rozdarcie, zamoczenie czy nawet przetarcie. Obiecywałem sobie, że gdy tylko natrafi się okazja, zabezpieczę ją folią w taki czy inny sposób.

Przez miasto przeszedłem bez większych problemów. W kilku miejscach natknąłem się na pozostałości po starych barykadach, ale pokonanie ich nie sprawiło mi żadnej trudności. Największe zagrożenie stwarzały sfory bezdomnych psów. Tych jednak już od dłuższego czasu nie widziałem. Nie słyszałem nawet szczekania ani ujadania. A przecież zazwyczaj całe to towarzystwo gromadziło się właśnie w pobliżu miast, gdzie wciąż jeszcze leżały trupy. Mimo to, przez cały czas ścisnąłem w dłoni odbezpieczony pistolet.

Wiele rzeczy wyglądało tak, jak siedem czy osiem lat wcześniej. Jak ktoś stłukł gdzieś szybę, to była stłuczona, bo nie było komu wymienić. W innym zaś domu szyby były, bo nie było komu chwycić za cegłówkę

i wyłuc. Wszystko było opustoszałe i zniszczone, a jednocześnie zdarzało mi się natrafić na samochód z przyczepką, załadowany zupełnie nietkniętymi zapasami, do których nawet psy nie zdołały się dostać. Zupełnie jakby ktoś zaledwie kilka minut wcześniej szykował się do ucieczki.

Zimogorye wyglądały ohydnie. Po obu stronach szosy stały na wpół wykończone domy. Budowali się tu bogacze z miasta, kiedy jeszcze żyli. Raczej mniej zamożni bogacze, bo stąd do centrum trzeba było jechać samochodem ze dwie godziny. Ziemia nie była tu droga, a miejsc takich jak to było dziesiątki w promieniu kilkunastu kilometrów. To nie wyróżniało się niczym szczególnym, poza faktem, że akurat tutaj znajdował się dom Iluszyna.

Dostrzegłem go bardzo szybko. Był to jedyny w okolicy dom, w którym paliło się światło. Profesor zadbał o to zawczasu, przekonując swoich sponsorów, że dla dobra jego badań, należy postawić w ogródku miniaturową elektrownię jądrową. W zasadzie to nie w ogródku i nie taką całkiem miniaturową. Obiekt zlokalizowany był w lesie, kilka kilometrów na północ, i w gruncie rzeczy był całkiem duży. Ale plusem była jego niemalże całkowita autonomia. Elektrownia sterowała się sama, a Iluszyn miał do niej dostęp poprzez panel zdalny, zlokalizowany w jego mieszkaniu.

Na całej długości ogrodzenia swymi elektronicznymi oczami błyskały kamery monitoringu. Nie przejmowałem się jednak nimi. Postanowiłem grać w otwarte karty. Podszedłem do bramy i zdjąłem plecak. Z jednej z zewnętrznych kieszonek wyjąłem pęk kluczy, oznakowanych malutkimi,

kolorowymi etykietami. Ten do bramy głównej miał etykietkę czerwoną. Wyszedłem z założenia, że Iluszyn sam by mnie nie wpuścił, ale też nie przypuszczałem, że staruch będzie stawiał opór.

Po przekroczeniu bramy znalazłem się na terenie posesji, będącej prawdopodobnie ostatnią enklawą życia. Uniosłem broń, na wypadek, gdyby jednak zaistniała potrzeba obrony. Staruch przecież mógł mieć psy.

Szybkim krokiem pokonałem parking. Kiedy stanąłem na ganku, upuściłem pistolet, który zawisł smętnie na smyczy, i sięgnąłem po kolejny klucz. Drzwi były ciężkie, najpewniej dozbrajane płytami. Pchnąłem je, i od razu chwyciłem za broń. Wszędzie paliły się światła, jednak Iluszyna nie było widać – zapewne zaalarmowany monitoringiem zabarykadował się w laboratorium – pomyślałem. Ostrożnym krokiem ruszyłem do przodu, rozglądając się na wszystkie strony.

– Kim pan jest? – usłyszałem głos za moimi plecami.

Włosy stanęły mi dęba. Szybko odwróciłem się, celując w niego z pistoletu.

– Proszę to odłożyć i wyjaśnić mi, co pan tutaj robi. To mieszkanie prywatne!

– Jakżeby inaczej – mruknąłem.

Iluszyn nie wyglądał na uzbrojonego, więc mogłem jeszcze przez chwilę utrzymać go w błogiej nieświadomości. Zabezpieczyłem pistolet i wsadziłem go do kabury na udzie. W końcu strach przed śmiercią mógłby zadziałać paralizująco, a ja zamierzałem coś jeszcze z niego wyciągnąć.

– Dlaczego pan to zrobił? – spytałem bez ogródek.

Iluszyn uśmiechnął się.

– Proszę za mną. – Zamknął drzwi wejściowe i ruszył w stronę schodów do piwnicy. – Proszę się nie bać. Nie ma tutaj sekretnych pułapek na nieprzewidzianych gości.

– Nie boję się – odparłem, po czym ruszyłem za nim, w stronę wąskich, stromych schodów.

Według informacji, które posiadałem, profesor osobiście nadzorował każdy etap budowy domu, od projektu, po wykończenie. Był przy tym więcej, niż perfekcjonistą. Cierpiał na Zespół Aspergera. Sam się nauczył projektować domy, po to tylko, by zaprojektować swój własny.

– Kim pan jest? – zapytał, kiedy znaleźliśmy się na dole.

Były tam szklane drzwi, które otworzył wklepując kod na klawiaturze wmontowanej w ścianę. O dziwo kod wydał mi się znajomy. Drzwi odsunęły się z cichym syknięciem. Za szklanymi drzwiami znajdował się długi korytarz, z wykładziną na podłodze, ścianach i suficie. Po obu jego stronach znajdowały się drzwi i okna, przez które widać było kolejne laboratoria.

– Jestem... – zawahałem się. – Jestem dziennikarzem.

– Dziennikarzem? – Twarz Iluszyzna rozpromieniła się w uśmiechu. – Coś takiego! Do której z gazet pan pisze? Do Izwestii? Komsomolca? A może do Moscow Times? Zabrał pan ze sobą coś na dowód? Z przyjemnością poczytam gazetę!

– Przecież wie pan, że nie mam – odparłem.

– Wiem?

– Nie ma już gazet. Nie pracuję czynnie jako dziennikarz. Przyszedłem tutaj jedynie w roli dziennikarza. Chcę przeprowadzić z panem wywiad.

– Rozumiem – profesor zaśmiał się, i otworzył jedno z drzwi. – Proszę.

Usiądźmy może tutaj. Napije się pan czegoś?

– A ma pan coś?

Iluszyn otworzył barek, który do tej pory tkwił w ścianie, całkowicie ukryty przed moim wzrokiem. W jego wnętrzu kryło się sporo dóbr. Widząc moje spojrzenie, profesor sięgnął po pierwszą lepszą butelkę i nalał do dwóch szklanek.

– Niestety zawartość wszystkich tych butelek jest jednakowa – powiedział. – Ostatnią butelkę szampana wypilem cztery lata temu. Szczęśliwie dysponuję jednak aparaturą umożliwiającą...

Nie dałem mu skończyć. Opróżniłem szklankę duszkiem, wywołując u niego chwilową konsternację. Nalał mi jeszcze, a sam ze swoją szklanką usiadł w fotelu.

– Proszę, niech pan usiądzie – powiedział. – O czym ma być ten wywiad? Będzie pan notował? Nagrywał?

– Nie ma takiej potrzeby – odparłem, zastanawiając się, czy alkohol mógł być zatruty. – Pan dobrze wie, że nikt oprócz nas, tego wywiadu nie usłyszy, ani nie przeczyta. Nie ma zatem potrzeby, aby go utrwałać.

– To prawda.

– Dlaczego uwolnił pan do atmosfery Gorgonę? – Uderzyłem wprost.

– Dlaczego wymordował pan wszystkich ludzi?

– Nie wszystkich. – Iluszyn uśmiechnął się psotnie. – Zostaliśmy jeszcze my dwaj. Zabiłem prawie wszystkich.

Zaskoczył mnie. Spodziewałem się, że będzie próbował zwać winę na kogoś innego, zasłaniać się rozkazami czy nieudanym eksperymentem. Tak właśnie robią cholerni tchórze.

– Dlaczego? – ponowiłem pytanie.

– Bardzo chętnie udzielę panu odpowiedzi – powiedział, nachylając się do przodu. – Ale chciałbym zadać panu również jedno pytanie. I co więcej, chciałbym usłyszeć na nie wiarygodną odpowiedź.

– Co znaczy wiarygodną?

– Taką, która mnie przekona. – Profesor wstał. – Proszę sobie wyobrazić, że to pan stworzył wirus, i wypuścił go z laboratorium. Wie pan, że zabije on całą ludzkość. Z wyjątkiem pana, bo pan się zaszczepił. – Wskazał na mnie suchym palcem. – Przez siedem lat żyje sobie pan w swoim schronie, zajmując się uprawą roślin, produkcją żywności oraz podobnymi bzdurami... I nagle, ni stąd, ni zowąd, w pana przedpokoju pojawia się jakiś człowiek, z bronią i kompletem kluczy. Kim pan jest? Jak się panu udało przeżyć? Skąd ma pan klucze do mojego domu?

To nieprawda, że byliśmy dwoma ostatnimi ludźmi na ziemi. Ja byłem ostatnim człowiekiem. On był bestią. Spojrzałem na kaburę. Pomyślałem, że mógłbym wyjąć pistolet, i wywalić mu prosto w twarz cały magazynek.

– Niech pan pierwszy odpowie na moje pytanie – wysyczałem przez zaciśnięte zęby. – Co panem kierowało? Czy jest pan zwykłym szaleńcem?

Iluszyn roześmiał się, zakładając nogę na nogę.

– Chcę usłyszeć odpowiedź na moje pytanie – powiedział.

– Mogę pana zabić!

– I tak pan to zrobi – odparł. – Jeżeli chce pan poznać przyczynę, dla której zabiłem całą ludzkość, proszę najpierw odpowiedzieć na moje pytanie.

– Zadał pan co najmniej trzy!

– Pan także.

Był spokojny. Przerazająco spokojny. W jego zimnych oczach tkwiła nawet nutka rozbawienia, jakby to spotkanie i możliwość porozmawiania z drugim człowiekiem po tylu latach samotności, stanowiło dla niego niesamowitą rozrywkę, pomimo świadomości nieuchronnej śmierci. Zdecydowanie musiał być szaleńcem.

– Mam panu powiedzieć, kim jestem?

Moja dłoń powędrowała w kierunku kabury. Palce spoczęły na rękojeści, kciuk wyćwiczonym ruchem odpiął pasek. Wysunąłem broń z kabury i przyłożyłem sobie do brody.

Dopiero wtedy w oczach Iluszyina pojawiła się nutka zaniepokojenia.

– Co też pan wyprawia? Będzie mi tu pan teraz ogrywać dramat?

– Dlaczego wymordował pan całą ludzkość? – krzyknąłem.

– Przecież pan wie – odparł.

Spojrzałem na niego. Wiedziałem, że ma rację. Wiedziałem.

– Przeżyłem... – zacząłem pomału – ponieważ zażyłem szczepionkę.

Iluszyn wyglądał na zdziwionego, ale tylko przez chwilę. Dostrzegłem, że i on ma pistolet, który również przyłożył sobie do brody, zupełnie jak ja.

– Zabiłem wszystkich, bo chciałem być sam – powiedział. – To miał być eksperyment, rozpylenie miało być obszarowe, ale podałem znacznie większą wartość. Wypuściłem prawie wszystko. Zastrzeliłem oficera, który nadzorował eksperyment.

Patrzyłem w lustro na swoje własne odbicie. Na swoje puste, przerażone spojrzenie.

– Próbował mnie powstrzymać – powiedziałem – ale wpakowałem mu kulkę w ten głupi łeb.

Włożyłem lufę do ust. Poczułem obrzydliwy smak smaru. Ale dzięki temu nie był w stanie już nic więcej powiedzieć.

Tyle lat samotności. Jedyłą osobą, z którą mogłem porozmawiać, było moje własne odbicie w lustrze. Pociągnąłem za spust, a na ścianie za moimi plecami rozkwitł szkarłatny kwiat. Później był już tylko ból, rozmywający się obraz i cisza. Dojmująca, głucha cisza.

Incydent

(opowiadanie ze świata [Podziemnego Wrocławia](#))

– Nie strzelaj!

Inspektor Kulicki rozejrzył się po klatce schodowej. Było ciemno, ale nie aż tak ciemno, żeby nie widział, że jest całkowicie sam. Zresztą, głos dochodził jakby z wnętrza jego czaszki, niczym odległe echo. Mogło to oznaczać jedną z dwóch rzeczy – albo stan jego umysłu uległ znacznemu pogorszeniu, albo do jego mózgu próbował włamać się ktoś z zewnątrz.

Zatrzymał się na chwilę, by posłuchać chwilę w absolutnej ciszy. Możliwe nawet, że uciał sobie krótką drzemkę.

Głos nie powrócił.

– Trudno. – Kulicki wzruszył ramionami, kierując się w stronę schodów.

Na półpiętrze śmierdziało okropnie. Zemdlilo go, więc przyśpieszył kroku, co nie było zadaniem łatwym w jego stanie. Wypił całe morze wódki. Świadomość, że jest kompletnie pijany, dotarła do niego nagle. Szybko oddalił się od miejsca, w którym najwyraźniej zdefekował jakiś bezdomny, i rozpoczął mozolną wspinaczkę na kolejne piętro. W międzyczasie przyjął pozycję bardziej opływową, by stawiać mniejszy opór powietrzu. Łączyło się to także z inną korzyścią – mógł do wspinaczki użyć także kończyn przednich. Minusy? Mdłości. Zawsze nachodziły go wtedy, gdy próbował w takim stanie się czołgać.

Także i teraz jego błędnik zwariował, a klatka schodowa zaczęła wirować. Schody były wszędzie, z każdej strony. Barieryki tak samo. W oddali majaczyło okienko, za którym widać było podświetlone luną miasta chmury. I tylko ono stanowiło punkt odniesienia. Dla uproszczenia przyjął, że okienko to góra, a półpiętro to dół. Zaczął wspinać się, mimo że świat szalał, jakby to była jakaś gigantyczna beczka staczająca się ze wzgórza, a nie klatka schodowa. Brnął jednak niezłomnie.

Nie minęło piętnaście minut, a był już na pierwszym piętrze, niemal u progu sąsiadki, do której czasem zaglądał, gdy go przypiliło. Właściwie to zaglądał dawnymi czasy, bo ostatnio ze zdrowiem mu się pogorszyło, i już w ogóle nie zaglądał. Zresztą sąsiadkę też nadgryzł zęb czasu.

– Starość nie radość – mruknął i splunął z pogardą.

Przed nim znajdowały się jeszcze jedne schody, jedno półpiętro, drugie schody i dom – ostoja spokoju. Choć wiedział, że nie powinien na wiele liczyć. Dom także będzie wirował jak oszalały. Jak spokojnie by nie było na dworze, dom zawsze zachowywał się jak okręt w czasie sztormu. A Kulicki nieraz już rozbijał lustro lub głowę, gdy fala gwałtownie przechylała mieszkanie na jedną czy drugą burtę.

Dotarcie do drzwi mieszkania zabrało mu nie więcej, jak kwadrans. A drzwi miały to do siebie, że po obu ich stronach stała solidna, mocna ściana. Taka ściana, że choćby nie wiem jak duży sztorm był w budynku, można się było o nią podeprzeć, wspiąć do pozycji godnej człowieka cywilizowanego.

I to właśnie uczynił inspektor Wiesław Kulicki – przywarł do ściany i wspiął się po jej gładkiej powierzchni niczym gekon. A gdy już zwyciężył

bój o swe człowieczeństwo, zaczął szukać kluczy. Na tym się jednak nie skończyło, albowiem gdy już wreszcie je znalazł, zaistniała jeszcze kwestia dziurki.

Kulicki nie doszedł do stopnia inspektora wyłącznie dzięki mocnym plecom, zbieraniu haków na kolegów, i odwalaniu brudnej roboty. Opierając się lewym ramieniem o ścianę, wymacał lewą ręką dziurkę i przytrzymał ją. Następnie prawą rękę, w której dźwiżył klucz, zbliżył do lewej, przytrzymującej niemalże idealnie licujący się z powierzchnią drzwi rant obudowy zamka, który wystawał może na pół centymetra. Dla inspektora był to wystarczający punkt zaczepienia.

Palcami lewej ręki naprowadził klucz na dziurkę, a prawą wsunął do wnętrza metalowy artefakt stojący na straży spokoju domostwa. Klucz zgrzytnął, gdy wszystkie zębki trafiły na swoje miejsce. Teraz wystarczyło przekręcić i...

Przed oczami Kulickiego rozpostarła się mroczna czeluść mieszkania, w której wyraźniej zarysowywały się jedynie oświetlone blaskiem latarni ulicznych otwory okien. Niespodziewanie, w jednym z tych otworów, coś się poruszyło i Kulicki zamarł. Trwało to naprawdę krótko, ponieważ już po chwili jego prawa dłoń znalazła się w kieszeni płaszcza, gdzie spokojnie spoczywał służbowy pistolet.

Jako doświadczony policjant wiedział, że ostatnia rzecz, jaką powinien zrobić w takim momencie, to zapalenie światła. Ruch ten kosztowałby go cenne sekundy, a w dodatku stałby się dla złoczyńcy doskonale widoczny.

Bez błędnie zagrała pamięć mięśniowa. Momentalnie przyjął pozycję, wysuwając lekko lewą nogę do przodu, i unosząc broń do linii wzroku. Celo-

wanie w ciemności nie miało szczególnego sensu, ponieważ i tak nie widział niczego – ani broni, ani tym bardziej przeciwnika.

– STAC! POLICJA! – krzyknął, i nie czekając na odpowiedź ściągnął spust kilkukrotnie.

Rozbłysk z lufy obnażył na ułamek sekundy widok przerażający – pokój pełen był demonicznych postaci, powykęcanych w dziwacznych spazmach. Były wszędzie, niemal przy każdej ścianie. A gdy strzelał, dodatkowo zaczęły wydawać wrzaski tak okropne, że Kulickiego zdjęła trwoga.

Wywalił cały magazynek ze swojego P-83. Usłyszawszy suchy trzask iglicy, padł na ziemię, by uchronić się przed kontratakami. Niemal natychmiast zaczął także szukać zapasowego magazynka.

– Kulicki kurwa!

Tym razem głos nie dobiegał z jego głowy, a z głębi pokoju.

– Ja pierdołę! Niech ktoś zapali światło!

I nastąpiła jasność.

Oczom inspektora ukazał się pokój przybrany w baloniki, i wielka błyszcząca wstęga z napisem „Wszystkiego najlepszego z okazji 20. jubileuszu pracy w policji”. A także twarze. Twarze wszystkich znajomych.

Był tam nadinspektor Gałka i prokurator Płotka. Była Bożena Kalicka, rzeczniczka prasowa, i były też wszystkie młode wilki, których nie potrafił nawet skojarzyć z nazwiskami, ani tym bardziej z imionami.

Ktoś zajęczał.

– Mamy ранego! – zawołał podkomisarz Bielski. – Bolo oberwał! Niech ktoś dzwoni na pogotowie!

Kulicki podniósł się z podłogi. Otrzeźwienie przyszło momentalnie wraz z wyrzutem adrenaliny do krwi.

To koniec, zaświtało mu w myślach. Takiego numeru jeszcze nie zdarzyło mu się wyciąć. Chyba jeszcze nikomu nie udało się wyciąć, ani tym bardziej ująć bez szwanku po wycięciu.

Ludzie zaczęli się krzątać koło starszego aspiranta. Krew utworzyła dużą plamę na białym swetrze, mniej więcej w okolicach pępka. Ciekła mu także z ust. Chłopak z przerażeniem wpatrywał się w ranę, i trzęsącymi się rękoma usiłował zatamować krwotok.

– Zostaw! Nie łapami! – skarcił go Gałka. – Dawać tu jakiś ręcznik, gazę, cokolwiek!

Inspektor opadł na fotel i upuścił broń na podłogę. Przed oczyma latały mu mroczki. Sięgnął za pazuchę, gdzie bezpiecznie spoczywała piersiówka.

– To już koniec – mruknął. – Dwadzieścia lat kariery psu w dupę.

– Kulicki kurwa! – wrzasnął nadinspektor. – Chyba nie będziecie teraz pić wódki? Patrz, co narobiłeś! Rusz się!

– Dzwoni ktoś na pogotowie? – padło pytanie.

– Żadnego pogotowia! – krzyknął Gałka w odpowiedzi.

Wszyscy spojrzeli ze zdziwieniem na komendanta. Kulicki także. Nie przypuszczał, że przełożony będzie próbował go kryć, zwłaszcza jeśli w grę wchodziło życie tego rannego.

– Nie wygłupiajcie się – mruknął inspektor. – Dzwońcie po pogotowie, póki jest jakakolwiek szansa...

– Nie! – Gałka był niewzruszony. – Załatwimy to jakoś. Pijany policjant, który rozwala swojego kolegę? Serio? Nie chcemy takiej historii,

prawda Bożena?

Rzeczniczka wyraźnie się zmieszała. Też była mocno pijana, i chyba miała nadzieję, że nikt nie odnotuje jej obecności.

– Tak, czy nie? – Komendant ponowił pytanie.

– No... tak, tak. Zdecydowanie – odparła niewyraźnie.

Gałka spojrział na rannego.

– Dajcie mu ten cholerny ręcznik, bo naprawdę się wykrwawi!

Ktoś w końcu przyszedł z ręcznikiem. Jeden z młodszych policjantów przycisnął go do rany. Bolo zasyczał z bólu, a spod ręcznika wysączyła się obfita struga krwi.

– Ja pierdołę! Ciężko było znaleźć cokolwiek czystego w tym chlewie – zreferował policjant, który przyniósł ręcznik. – Może wódki mu damy? Tak przeciwbólowo.

– Żadnej wódki! Podnieście ciśnienie! Tamuj krwotok i szybko myślimy, po kogo zadzwonić! Jakies pomysły? Dawać mi tu natychmiast pomysły!

Gałka był przerażony. I trudno się dziwić. Kulicki był jednym z najbardziej zasłużonych policjantów w komendzie wojewódzkiej. Z okrągłą rocznicą zbiegać się miał także awans i nagroda wyróżnienia za wzorową służbę, jaka by tam ona nie była. Zaplanowane były oficjalne uroczystości i wręczenie nagrody przez gości z Komendy Głównej Policji. Tymczasem sytuacja nie rysowała się w najjaśniejszych barwach. Mieszkanie w bloku, dwudziestu paru kompletnie pijanych policjantów i ciężko ranny facet, wykrwawiający się na dywan.

– To może do Mariana Warzechy? – odezwał się w końcu prokurator Karol Płotka. – On łąta bandziorów. Żyjemy z nim dobrze. Dostanie propo-

zycję nie do odrzucenia, że jak piśnie słówko to mu się znajdzie jakieś paragrafy.

– Dzwon! – Komendant drżącymi rękoma odpalił sobie papierosa, po czym z pogardą wyrwał filtr i rzucił na podłogę. – Dzwon i powiedz, że jak przyjedzie w ciągu pół godziny, to mu jeszcze zapłacimy. Dawać tu wszyscy kasę na stół!

Policjanci posłusznie zaczęli wyciągać swoje portfele. Po chwili na blacie pojawiła się całkiem spora kupka banknotów oraz bilonu. Bielski usiadł na pufie i zaczął liczyć. Ktoś postawił przed nim puszkę z piwem dla poprawy koncentracji.

– Sto czterdzieści cztery – zawołał po chwili. – Sto pięćdziesiąt. Kwota nie powala.

– Dzwon Karol! – huknął Gałka. – Warzecha to alkoholik. Nie odmówi.

Płotka zniknął gdzieś ze swoją komórką, a w tym czasie Kulicki odrzucił pustą piersiówkę na podłogę i ruszył w stronę kuchni, gdzie według jego szacunków, powinna znajdować się jeszcze jedna, niepełna półlitrowka Huragana.

– A ty gdzie? – Komendant chwycił go za ramię.

– Spokojnie, nie ucieknę.

– Wiem Wiesiu, wiem... – Gałka poklepał go po ramieniu. – Ale przynieś też dla nas.

Kulicki wrócił z kuchni po piętnastu minutach, i nie przyniósł nic. W tym czasie pojawił się także Płotka, który z rezygnacją, dramatycznym gestem roztrzaskał swój telefon o ścianę.

– Co jest? – spytał Gałka.

– Warzecha powiedział, żebyśmy spierdalali!

– Życie mu niemiłe?

– Siedzi w pierdłu. Powiedział, że nic więcej nie jesteśmy w stanie mu zrobić. – Prokurator opadł na kanapę.

– No... – Bielski podniósł głowę znad rannego Bola. – Zawsze mógłby się powiesić w celi.

– Nie urodziłem się wczoraj. Dokładnie tego samego argumentu użyłem – odparł Płotka. – Powiedział, żebyśmy spierdalali, bo w końcu i tak sam się wyhuśta.

W pokoju zawrzało. Bolo był blady jak ściana i przestał jęczeć. Utracił sporo krwi, która przesączała się przez biały sweter i ręcznik, przeradzając się w rosnącą plamę na pstrokatym dywanie.

– Mój dywan... – mruknął Kulicki, osuwając się w fotelu.

– No dobra, plan B! Czy ktoś ma jakiś plan B?

Gałka coraz bardziej przypominał kłębek nerwów. Palił papierosa za papierosem i pił wszystko, co mu wpadało w ręce. W pewnym momencie na stole pojawiło się dużo nowego alkoholu, za to zniknęła forsa ze zrzutki. Komendant wściekł się, i przez chwilę nawet próbował szukać winnych, ale w końcu dał za wygraną, otworzył sobie piwo i zasiadł w fotelu, naprzeciwko na wpół drzemiącego Kulickiego.

– Cholera jasna, brachu – powiedział cicho. – Przepraszam cię za to wszystko. To moja wina. To przyjęcie to był głupi pomysł. Zrobię wszystko, żeby cię z tego wyciągnąć...

Kulicki wymamrotał coś niewyraźnie. Potem ktoś wsunął mu do ręki małą małą Huragana, a ten przyssał się do niej jak dziecko do piersi matki.

– Ja mam plan B.

Przed nadinspektorem Gałką zmaterializował się jakiś młodzieniec, którego ten nie do końca kojarzył. Najpewniej ktoś nowy, bo komendant kompletnie nie potrafił powiązać twarzy z nazwiskiem.

– Zamieniam się w słuch.

– Jest taki jeden człowiek, który żyje w Lesie Strachocińskim.

– W lesie? – Gałka niemal zachłysnął się piwem. – Znaczy się bezdomny?

– Można tak powiedzieć – odparł młody. – Nazywają go Papa Legba i podobno jest w stanie zwrócić zmarłemu życie.

– Co wy mi tu pierdolicie? Meldować się! Imię, nazwisko, stopień!

– Posterunkowy Adam Stępień! – Chłopak wyprężył się jak struna.

– Bolo żyje i nie zamierzam pozwolić na to, by opuścił ten padół w taki czy inny sposób, zrozumiano posterunkowy?

– Ttaak...

Uwaga wszystkich skupiła się teraz na Gałce, który aż kipiał ze złości. Długą i niezręczną ciszę przerwał Bielski.

– Czy mogę coś powiedzieć?

– Proszę mówić podkomisarzu! – Komendant nie odrywał wzroku od Stępnia.

– Bolo nie żyje.

Kulicki na chwilę oprzytomniał i zwymiotował na dywan. Bożena Kalicka także poczuła mdłości. Wyszła do kuchni, by otworzyć okno i zaczerpnąć świeżego powietrza, jednak w drodze zrzuciła treść żołądka na pokrywające podłogę gumoleum. Prokurator Płotka otworzył nowe piwo.

– Jak to nie żyje? – zapytał Gałka. – Kto trzymał ręcznik?

– Melduję, że ja – odparł Bielski. – Ale... no kurwa... za przeproszeniem... nie było szans. Rana była zbyt obszerna. Ciekło z niego jak ze świni...

Nadinspektor Waclaw Gałka opadł na wersalkę i zanurzył twarz w dłoniach, w geście pełnym rozpacz.

– Czy ten Papa Legba ma jakiś telefon?

– Nie. Melduję, że trzeba po niego pojechać. – Stępień znów wyprężył się jak struna i nawet strzelił obcasami, choć na nogach miał obecnie tylko góralskie kapcie Kulickiego. – Mogę pojechać z kimś, ale melduję, że sam nie mogę prowadzić.

– Kto jest najmniej pijany?

Zgłosił się starszy aspirant Łukasz Lenar, który z niezrozumiałych przyczyn zwykle pił piwo bezalkoholowe. Z tego powodu często stawał się ofiarą niewybrednych żartów.

– Pojedziesz ze Stępnem i przywieziecie tę całą Papę – powiedział komendant. – Tylko migiem, zrozumiano? MI-GU-SIEM!

Legba okazał się być człowiekiem mocno ekscentrycznym i równie mocno wonnym. Spowity w czerń, obwieszony talizmanami i amuletami, sprawiał wrażenie szaleńca, który całkowicie zatracił kontakt z rzeczywistością. Obserwując dziwne rytuały odprawiane nad zwłokami, Gałka przez chwilę obawiał się, że dojdzie do ekscesów, których efektem będzie aresztowanie bezdomnego. Jednak po pewnym czasie Papa Legba zaprzestał wyczyniania wygibasów, pogasił kadzidelka i zbliżył się do komendanta.

– Czy mogę na słówko? – spytał.

Gałka niechętnie podniósł swe cielsko z fotela i ruszył w stronę kuchni. Przepędził stamtąd Bożenę Węgrzynowską z rozmytym makijażem, która najwyraźniej zalewała się łzami zamiast opracowywać komunikację kryzysową. Następnie zapalił papierosa i siadł na skrzypiącym taborecie.

– No słucham.

Papa Legba wpatrywał się przez chwilę w papierosa. W końcu komendant zlitował się i poczęstował go.

– Sprawy nie mają się dobrze – powiedział szaman.

– To jestem w stanie stwierdzić bez pańskiej pomocy – odparł Gałka.

– Chciałbym wiedzieć, co pan, jako czarownik, ma do zaproponowania?

Papa Legba przysiadł na blacie kuchennym i założył nogę na nogę.

– Aura pana Bola jest już bardzo słaba – rzekł po chwili. – Szczerze powiedziawszy jest tak słaba, że ledwie ją wyczuwam. Śmierć musiała nastąpić jakiś czas temu, prawda?

– Zaraz, momencik... Podobno jest pan w stanie przywrócić zmarłemu życie, czy tak?

Bezdomny zmieszał się.

– Tak, częściowo tak, ale nie w każdych okolicznościach...

– W takim razie w jakich?

– No wtedy, gdy mogę interweniować nie później, niż piętnaście minut po chwili, gdy dusza opuściła ciało, i znajduje się jeszcze w zasięgu mojego astrala...

– To kicha. – Gałka wstał. – Straszna kicha. To musi być naprawę gówniane uczucie, mieć dar, który jest gównno wart.

– Ale...

– Dziękuję panu. Naprawdę, dziękuję za fatygę. Zdaje się, że pana astral będzie tu bezużyteczny, więc jest pan wolny. Może pan iść ze swoją aurą na ryby, do lasu, czy gdziekolwiek.

Papa Legba ostentacyjnie wrzucił niedopałek do zlewu i wyszedł z kuchni. Komendant zaś podniósł się ciężko niczym zmęczony życiem wałęśnik i ruszył do salonu, gdzie w ciszy i napięciu oczekiwali go jego ludzie. Bolo leżał na dywanie, wpatrując się martwymi oczami w upstrzony grzybem sufit.

– Na miłość Boską, niech go ktoś czymś zakryje – mruknął nadinspektor i rozsiadł się w fotelu, niczym ojciec chrzestny mafii. – Skończyły mi się papierosy. Ma ktoś?

Bielski zaoferował się od razu. Bożena Kalicka też, ale ona miała mentolowe slimy, którymi z reguły wszyscy gardzili. Gałka wziął od Bielskiego, i od razu oderwał filtr.

– Od tych mentoli ponoć nie staje. Pani Bożeno, proszę sobie wziąć jakiś kajecik i notować – powiedział w końcu, wypuszczając nosem szarą chmurę dymu.

Kalickiej nie trzeba było dwa razy powtarzać. I tak była na skraju załamania nerwowego. Wyjęła z taniej torebki notesik, w którym robiła zwykle listę zakupów, i ogryzek ołówka wyniesiony ze sklepu z meblami.

Wszyscy zamilkli. Gałka odczekał chwilę, aż Płotka okryje zwłoki prześcieradłem z wyraźnymi śladami wielokrotnego moczenia. Przy okazji ktoś przypomniał sobie o Kulickim i ocucił go.

– Proszę mnie posłuchać bardzo uważnie – zaczął komendant. – Dnia dwudziestego drugiego lipca, dwutysięcznego roku, o godzinie dwudziestej

drugiej piętnaście, dokonano próby zatrzymania starszego aspiranta Konrada Małeckiego, pseudonim Bolo, wobec którego istniało uzasadnione podejrzenie o udział w szajce złodziei samochodów – powiedział komendant na jednym oddechu, po czym zrobił krótką przerwę, by zaciągnąć się cuchnącym petem. – W toku działań operacyjnych doszło do wymiany ognia. Inspektor Wiesław Kulicki, który stał na czele grupy operacyjnej, otworzył ogień, bohatersko ratując życie... – wskazał na jednego z młodych. – Ty, jak się nazywasz?

– Aspirant Waldek Kaczmarek.

– ...ratując życie aspirantowi Kaczmarkowi – kontynuował komendant.

– Konrad M. zmarł w wyniku poniesionych obrażeń, jeszcze przed przybyciem pogotowia.

Kalicka skończyła pisać i ekspresyjnie postawiła kropkę.

– Czy wszystko jest dla was jasne? – zapytał Gałka. – Jakies pytania?

Zgłosił się Bielski.

– Dlaczego zatrzymanie odbywało się w mieszkaniu inspektora Kulickiego?

– Przeprowadziliśmy prowokację, której celem było zwabienie Konrada M. do mieszkania inspektora. Zakup kontrolowany.

– Nie wiem, czy to kupią – mruknął Bielski.

– Kupią czy nie, to w tej chwili nie jest tak do końca nasze zmartwienie. Stan dzisiejszy jest taki, że podejrzanego nie udało się zatrzymać, ponieważ wyciągnął broń i oddał trzy strzały do Kaczmarka. Panowie, sprawdźcie, czy Bolo ma broń.

Ktoś odsłonił ciało Małeckiego i sprawdził pod swetrem.

– Jest broń!

– Bielski, proszę strzelić trzy razy w stronę drzwi – zakomenderował Gałka.

– Ale...

– Proszę wykonać polecenie.

Podkomisarz wyjął pistolet trzymając go przez chusteczkę higieniczną, odbezpieczył i wystrzelił trzy razy w stronę drzwi.

– Ktoś w końcu wezwie policję – mruknął prokurator Płotka.

– No to co? Policja jest tu – odparł komendant. – Czeka nas jeszcze sporo roboty papierkowej. Każdy z obecnych tutaj napisze raport.

– Ja też? – zapytała rzeczniczka.

– Nie. Ciebie tu nie ma. – Gałka odpalił jednego papierosa od drugiego.

– Nie było żadnej jubileuszowej niespodzianki, żadnego incydentu czy przypadkowego postrzału. To była tajna operacja, o której wiedziałem tylko ja i obecni tu funkcjonariusze. Mam nadzieję, że wszystko jasne. A teraz zabieramy się za sprzątanie tego bajzlu.

Wszyscy chyba odetchnęli z ulgą. Zaczęli się krzątać wokół, zbierać baloniki i butelki po alkoholu. Ktoś ściągnął wstęgę z napisem i zaczął ją zwijać. Ktoś inny przyniósł czarne worki na śmieci, aby do nich zebrać wszystkie niechciane dowody.

W pewnym momencie Karol Płotka potknął się o coś i upadł na ziemię. Obok niego leżały jeszcze jedne zwłoki, należące do młodego mężczyzny. Pocisk pechowo trafił go prosto w oko, przebijając czaszkę i uśmiercając na miejscu. Najbardziej zagadkowym był jednak fakt, że nikt nie potrafił powiedzieć, kim był ów martwy człowiek. Ustalono zatem jednogłośnie, że był to

wspólnik Bolo.

Kulicki długo jeszcze siedział w fotelu z piwem w dłoni.

– Ten głos – mówił do siebie. – Głos, który usłyszałem na klatce...

Teraz skojarzył. Głos należał do jego byłego partnera, Andrieja Wiktorowicza Marczenki, jasnowidza i medium, z którym współpracował w latach osiemdziesiątych. Najwyraźniej Marczenko wysłał mu ostrzeżenie. Coś jednak poszło nie tak, może sygnał za słaby? Może za dużo pyłów w powietrzu? Dotarło tylko „nie strzelaj”, z którego niezbyt wiele mógł wywnioskować.

Gdy ostatni policjanci opuścili jego mieszkanie, w głębi duszy odechnął z ulgą. Czuł się podle, jednak ostatecznie wolał, żeby zginął Bolo, niż żeby on sam trafił do więzienia, gdzie dzieliłby celę z ludźmi, których być może sam tam wsadził.

To nie byłyby miłe pobyt...

Skowyt z gór

(opowiadanie ze *świata Herna*)

Hern leżał w trumnie bez życia. Jego blada skóra lekko połyskiwała w niskim świetle padającym z małych, zakratowanych okienek. Barwą i teksturą przypominała wosk.

Arktus nachylił się nad przyjacielem i dyskretnie pociągnął nosem. Poczł jedynie chłodną, piwniczną stęchliznę i smród szczurzych odchodów.

– Hmmm – mruknął. – Interesujące.

Przez kolejną minutę wpatrywał się w pierś Herna, wyczekując jakiegoś ruchu. I był niemal pewien, że skóra ledwo zauważalnie drgała, że jednak...

Przerwało mu skrzypienie drzwi i kroki jednego z kapłanów.

– Czy pożegnałeś się? Już czas. Czeka nas długa podróż.

– Dajcie mi jeszcze chwilę – odparł Arktus.

Musiał mieć absolutną pewność. Oficjalnie Herna uznano za wampira w stanie uśpienia. Kapłani zamierzali odstawić łowczego do Majeronii, gdzie król, w akcie zemsty za dawne przewiny, pastwiłby się nad nim na różne, wymyślne sposoby. Zdecydowanie musiał mieć więc całkowitą pewność, że jego druh jest martwy.

Gdy kapłan wyszedł, Arktus znów nachylił się nad trupem i szepnął mu do ucha.

– Jeśli mnie słyszysz, odezwij się.

Kilka dni wcześniej...

Góra tonęła w gęstej mgle. Strone zbocza porośnięte były gęstym, prastarym lasem, zdominowanym przez wysokie sosny, gęste świerki i modrzewie. Powietrze przesycił orzeźwiający, żywiczny zapach. Było tam jednak coś jeszcze: cisza, niepokój i przebijająca zewsząd groza, którą Arktus wyczuwał pozazmysłowo. Najogólniej rzecz biorąc – zło wisiało w powietrzu.

– Jesteś pewien, że to ta góra? – spytał Hern, przeżuwając kawałek suszonego pstrąga.

– Nie jest wystarczająco mroczna? Nie wygląda jak siedlische mocy piekielnych?

– Tamta też tak wygląda. – Łowczy wskazał szczyt za ich plecami. – Lepiej byłoby ustalić to teraz, póki jesteśmy na przełęczy. Nie mam zamiaru spędzić tu całego tygodnia uganiając się za wampirami. Ubiję to, co znajdziemy na tej. – Machnął niedbale ręką.

Arktus rozwinął mapę, którą otrzymali od smolarzy z pobliskiej kolonii. To oni zlecili Hernowi rozprawienie się ze złymi mocami. Nie była zbyt dokładna. Miejsce opanowane przez złe moce, jakiś dowcipniś oznaczył koślawym wizerunkiem męskiego członka.

– Sądzę, że to ta góra.

Dla pewności wyjął kompas i spróbował ustawić mapę zgodnie z rzeczywistymi kierunkami.

– Odwzorowali teren naprawdę kiepsko, ale nie mam najmniejszych

wątpliwości.

Hern wrzucił do ust kolejny kęs suszonego pstrąga.

– Zatem ruszajmy...

W kaplicy...

– Obudź się, słyszysz? – Arktus mocno trącił ramię łowczego. – Zawio-
zą cię do Majeronii i zabiją. Musimy uciekać.

Głucha cisza.

Podobno wampiry za dnia wpadają w głęboki letarg. Robią to, by
zregenerować się, i uchronić przed śmiertelnie niebezpiecznym dla nich
światłem dziennym. Tymczasem ten tutaj, leżał sobie jak gdyby nigdy nic.
Światło było wprawdzie nikłe i blade, jednak na zewnątrz trwał piękny, sło-
neczny dzień.

– Janie obudź się...

Na zboczu...

Mgła wokół nich stawała się coraz gęstsza. Wąski, kamienisty szlak,
widoczny był teraz na odległość góra dziesięciu kroków. Wszędzie wokół
majaczyły blade pnie sosen i kosmate kępy świerków, przypominające wło-
chate ramiona mitycznych Graygutanów.

– Paskudna okolica – powiedział Arktus.

– Nigdy jeszcze nie widziałem pięknego miejsca, zamieszkanego przez
siły zła – odparł Hern.

– A więc zgadzasz się, że to jest właściwe wzgórze?

– Nie wiem. Zapytamy jakiegoś tubylca.

– Sądzisz, że ktoś mógł wybrać się w taką pogodę na grzyby?

Łowczy nie odpowiedział. Wspinali się od dłuższego czasu, więc ich oddechy stały się płytkie i szybkie. Po kamienistym podłożu szło się niezbyt przyjemnie, zwłaszcza w skórzanych trzewikach o miękkiej podeszwie, które idealnie sprawdzały się w lesie, na polowaniu, czy w ciemnej uliczce miasta, ale nie w górach. Arktus czuł, że jeśli nogi nie odpadną mu tego dnia, zrobią to następnego.

Mniej więcej w połowie drogi mgła zaczęła się przerzedzać. Można już było spokojnie dostrzec ciężkie, burzowe chmury, sunące wolno od sąsiedniego szczytu. Nad ich głowami przetoczył się huk gromu, i powiało chłodem, od którego wójt dostał gęziej skórki.

Hern przysiadł na kamieniu i zaczął grzebać w swoim tobołku. Chwilę zajęło mu dokopanie się do bukłaka z winem. W końcu uniósł go tryumfalnie do góry, i pociągnął kilka sążnistych łyków.

– Trzymaj. Czuję, że jesteśmy blisko celu. Musimy się trochę zregenerować.

W momencie, gdy skończył mówić, od strony szczytu dobiegł ich przerażający skowyt, którego nie mogła wydać z siebie żadna istota ludzka, czy nawet jakiegokolwiek znane im zwierzę.

– Cholera, co to było? – Arktus usiłował wypatrzyć coś w półmroku, lecz bez rezultatu. – Co właściwie mieliśmy tu zastać? Wiedźmę? Wilkołaka?

– Wampira – oznajmił Hern. – Albo coś w tym rodzaju. Smolarze opowiadali mi o zabitych. Wyglądało to tak, jakby ktoś spuścił z nich całą krew.

Ich twarze zastygły w niemym przerażeniu. Tak powiedział ksiądz. Cytuję dokładnie. W niemym przerażeniu.

– Na Hoga! Wampir?

Zaczął siąpić. Najpierw delikatnie, a potem szybko zasłona deszczu zrobiła się gęsta i szara.

– I jeszcze to... – Arktus załamał ręce.

W kaplicy...

Hern uchylił jedno oko, po czym szybko zamknął je, gdy tylko Arktus spojrzał mu w twarz. Później powtórzył ten numer raz jeszcze, z podobnym rezultatem. Zabawę przerwało beknięcie o wyraźnym aromacie ryb, które wydobyło się z jego gardzieli.

– Hern?

Łowczy milczał i nadal udawał trupa.

– Już mnie nie nabierzesz. Wiem, że żyjesz. Musimy uciekać!

– Przykro mi Ark. Po ukąszeniu przez wampira, nie jestem już taki jak dawniej. Nie mogę wyjść na słońce. Pozostaje mi...

– Co ty bredzisz? – krzyknął wójt. Szybko zreflektował się, że kapłani mogą go usłyszeć, i ściszył głos. – O czym ty mówisz? Jaki wampir?

– Biedny Arktusie... Czyż nie pamiętasz? Góra. Ulewa. Chatka. Zostaliśmy napadnięci...

Chatka....

– Tam jest jakaś chatka! Szybko! – zawołał Arktus.

Hern włókł się za nim. Nie przeszkadzał mu deszcz, ale jego buty zachowywały się jak mokre szmaty. W pewnym momencie zwolnił znacznie.

– Spokojnie, chatka nie ucieknie. Ogrzejemy się, wysuszymy, może znajdzie się jakaś strawa dla utrudzonych poszukiwaczy przygód...

– Strawa? Człowieku! Równie dobrze może właśnie to jest siedlisko bestii!

– To by było zbyt łatwe.

Podeszli do chatki tak blisko, jak to było możliwe. Hern przysiadł na kamieniu i wylewał sobie wodę z butów. W tym czasie Arktus obserwował domek zza krzaków.

Chatka sprawiała wrażenie pustej, wójt uznał więc, że pewnie smolarze postawili ją tutaj, by móc się schronić przed deszczem i śniegiem. Jeśli tak było, faktycznie mogły się tam znajdować niewielkie zapasy żywności, czy coś rozgrzewającego do picia. Szybko zapalił się do tej idei i ogarnęło go błogie poczucie bezpieczeństwa.

– Idę na zwiad – szepnął do Herna, i nie czekając na odpowiedź, fiknął przez krzaki.

Wpół schylony, zbliżał się do domku, zataczając szeroki łuk, by uniknąć bezpośredniego kontaktu z oknami. Znalazłszy się przy drzwiach, pchnął je lekko. Nie były zamknięte, więc napał odważniej. We wnętrzu panowały całkowite ciemności. Deszcz walący o dach zagłuszał wszystko, co mógłby usłyszeć. I to odebrało mu pewność siebie...

W kaplicy...

– Janie, nie było tam żadnych wampirów. Nie pamiętasz?

– Jak to nie było? – spytał Hern. – W takim razie co się rzuciło na mnie z zębiskami?

– Staruszka.

– Staruszka?

– Babcia, która mieszkała w domku. Trochę zdziczała. Może ogarnęło ją szaleństwo – tłumaczył Arktus. – Rzuciła się na ciebie, a wtedy dałem jej przez łeb. Byłeś ranny. Spytałem ją, czy na górze mieszka jakiś wampir. Starą powiedziała, że tak, ale na tej drugiej. Rozumiesz?

Hern podrapał się po głowie robiąc dziwne miny.

– Miałeś rację! Pomyliliśmy te cholerne góry! – wyjaśnił Wójt. – Powinniśmy byli pójść na ten drugi szczyt. Gdy dotarło to do mnie, zniosłem cię na własnych plecach do osady smolarzy, a ci tchórze wezwali kapłanów Hoga mówiąc, że ugryzł cię wampir. Jesteśmy w poważnych kłopotach!

Hern uniósł się do pozycji siedzącej, i wykrztusił czarną plwocinę. Leżał w kaplicy już dwa dni, a było tam chłodno, brudno i czuć było grzybem.

– Dobra Ark, mam pewien plan – powiedział. – Oto co zrobimy...

Na zewnątrz...

Mnisi i kapłani niecierpliwili się. Od strony majaczących w oddali gór, dobiegł ich przejmujący skowyt, wydany ni to przez człowieka, ni to przez zwierzę.

– Co on tam tak długo robi? – zapytał jeden z nich. – Bierzmy trupa

i wynośmy się z tej przeklętej okolicy. To większa kloaka, niżli tereny staro-wierców.

– Pójdę go ponaglić padre – powiedział drugi, i ruszył w kierunku masywnych drzwi kaplicy. Już wyciągał dłoń w stronę klamki, gdy drzwi otwarły się i stanął w nich sam Hern.

– Agghrrrrrrrr!

– Wielki Hogu! – wrzasnął gruby mnich. Na jego tunice wykwitła plama moczu.

– Który pierwszy, co? No który? Krwi! Potrzebuję krwi!

Poszło łatwiej, niż sądzili. Kapłani i mnisi byli uzbrojeni jedynie w noże i pałki. Jednak nie użyli ich, gdyż zajęci byli ucieczką. Biegli bardzo szybko, w dół zbocza, ku głównemu traktowi, prowadzącemu do Majeronii.

Hern i Arktus udali się w stronę karczmy, gdzie opróżnili wiele antałów krwisto-czerwonego wina. Na spoczynek ułożyli się na dworze, a dobiegający z gór, od czasu do czasu, nieludzki skowyt, nie zdołał zakłócić ich snów o niewiastach i winie.

Ostatni zombie

Na wrocławskim rynku było tłoczno jak zwykle. Inaczej jednak, niż zwykle, wyglądał osobliwy tłum, składający się przeważnie z jęczących, wlokących za sobą fragmenty ciał oraz jelit, chwiejnych postaci. Były to żywe trupy. Zombie, które opanowały całe miasto, kraj, a być może nawet i świat. I właściwie chyba mało kto był w stanie powiedzieć, jak to się wszystko zaczęło. W każdym razie zaczęło się, a później szybko rozprzestrzeniło, pozostawiając w stanie normalnym jedynie garstkę ludzi, których geny okazały się być naturalnie odporne. Służyli oni za pożywienie zarażonym.

W takich oto okolicznościach, mniej więcej na środku rynku, jeden z zombie zatrzymał się nagle i zaczął jęczeć głośniej.

– Yyyeeeeeeeghhh!!!

W wolnym tłumaczeniu oznaczać to miało „Ludzie!”. Ponieważ jednak tłumaczenie każdej kwestii z osobna będzie trwało całą wieczność (zombie wszystko strasznie przeciągają), posłużmy się może wersją z dubbingiem.

– Ludzie! Opanujcie się! – krzyczał zombie. – Pójdźcie po rozum do głowy!

– Nawet ja? – spytał jeden z przechodniów, któremu z głowy została tylko część twarzowa, ze zwisającym smętnie jednym uchem.

– Rafał przestań robić wiochę! O co ci znowu chodzi?

Zombie obrócił się w stronę, z której dobiegał głos. Głos należał do Moniki, jego dziewczyny.

– Jeżeli nie zrezygnujemy z żywca, nasze dni są policzone! – powie-

dział.

– O co ci znowu chodzi z tym żywcem?

– Dokonałem obliczeń! Żywca jest zbyt mało, musimy przejść na dietę wegańską!

Wokół rozległ się szyderczy śmiech tych, którzy przypadkiem wyłowili z hałasu ostatnie zdanie.

– Panie, weź pan się puknij – powiedział starszy pan bez ręki. – Z jakiej pan jest partii, co? Kto panu płaci za błaznowanie? Co to, jakiś komitet obrony żywca?

– Nikt mi nie płaci!

– Rafał chodź już do domu. Po co ci to? – Monika pociągnęła go za rękę, ale delikatnie, żeby nie urwać.

– Walczę o sprawę, w którą wierzę. Żywca jest za mało i nie powstaje nowy. Jeśli nie zmienimy swojego stylu życia, świat który znamy odejdzie... Wyginiemy wszyscy z głodu!

Nikt nie słuchał. To było jak walenie grochem o ścianę. Dzień w dzień. Noc w noc.

O północy do drzwi rozległo się pukanie. Rafał nie spał, ponieważ zombie nie muszą spać. Leżał w letargu. Wstał i otworzył drzwi, a jego oku ukazało się trzech młodych ludzi.

– Jak mogę pomóc? – zapytał.

– Słyszeliśmy twoje wystąpienie na rynku. Uważamy, że masz rację i chcemy dołączyć – powiedział niski, bo pozbawiony nóg, chłopak. – Ja jestem Adam. To są Sztywny i Klocek.

Wszyscy oprócz Klocka podali sobie dłonie. Klocek nie miał dłoni. Dał do uściśnięcia zmartwiały, czarny kikut, z którego sączyła się ropa.

– Dlaczego mówią na ciebie Klocek? – zapytał Rafał.

– Sam nie wiem... Jakoś tak się przyjęło na cmentarzu.

– W porządku, wejdźcie.

Uchylił drzwi i gestem ręki zaprosił ich do pokoju pełnego much. Tym, co przywabiało owady, nie był jednak przyjemny smrodek rozkładu, ale wiadra pełne krowiego łajna, stojące na środku pokoju.

– Cóż to takiego? – zapytał Klocek, wskazując wiadra kikutem.

– Nawóz. Chcę zasadzić rośliny jadalne i stworzyć pole uprawne – odparł Rafał.

– Widzę, że prawdziwy z ciebie preppers – zaśmiał się Adam. – Podobam się to. Właśnie o to chodzi. Indywidualny system żywienia, oparty o roślinność hodowaną we własnym zakresie...

– Pięknie powiedziane Adamie – poparł go Klocek. – Przejdźmy do meritum. Dysponujemy pięknym kawałkiem ziemi pod Wrocławiem. Dawna ferma żywca, ale... sam wiesz...

– Mięso wyszło, jak to mówią – roześmiał się Adam, kończąc zdanie za kolegę.

– No dobrze. – Rafał usiadł na przegniłej kanapie. – Ale czego oczekujecie w zamian? Nie mam za dużo kasy...

– Ale masz to – Klocek wskazał kikutem wiadra gnoju – know how.

Trzy miesiące później...

Wszystko zaczynało się układać. No, może poza tym, że Monika rzuciła Rafała. Twierdziła, że nie miał jaj. Z klinicznego punktu widzenia posiadał jednak całkiem spory fragment lewego jądra. No, ale któż zrozumie kobiety?

Uprawy rosły w oczach. Mieli ziemniaki, rośliny strączkowe, pomidory, ogórki, marchew i kukurydzę. Całość ogrodzili trzywarstwowym systemem umocnień, składającym się z palisady zewnętrznej, płotu z drutem kolczastym oraz palisady wewnętrznej, skierowanej na zewnątrz. Obawiali się, że inni, przejrawszy na oczy, zechcą dobrać się do ich upraw. Tymczasem najczęściej szkód robiły dziki i inne, drobniejsze szkodniki. Wkrótce zaczęli wystawiać regularne, całodobowe patrole. Nie było to szczególnie uciążliwe, bo jak już wcześniej wspomniałem – zombie nie śpią.

– Czy nasz apel został wysłuchany? Czy niedowiarkowie przejrżeli na oczy? – spytał Adam ujrawszy Rafała, wracającego z miasta. – Jak poszło wodzu?

– Poszło tak, że nie chcieli w ogóle mnie słuchać. – Zombie usiadł na ławeczce przy bramie i westchnął głęboko, wypluwając przy okazji całkiem sporo ropy, limfy i nadgniętej tkanki. – Są zbyt zaaferowani kryzysem. Żywność drożeje w zastraszającym tempie.

– No tak, przewidziałeś to. Mówiłeś im już wcześniej, ale...

– Nie słuchają. Tak samo, jak nie słuchali wtedy.

Adam chciał poklepać przyjaciela po plecach, ale ponieważ nie miał nóg, nie dosięgał.

– Pewnego dnia zrozumieją, ale będzie za późno – powiedział tylko i wrócił do pilnowania upraw.

Z oddalonych o kilkanaście metrów grządek, przyjacielsko pomachał

im kikutem Klocek.

Kolejne trzy miesiące później...

Był wieczór. Nad Wrocławiem unosiła się ognista luna zapowiadająca najgorsze. Wzrost cen żywca wywołał zamieszki na istic apokaliptyczną skalę. Zombie rozbijały szyby wystaw sklepowych i podpalały samochody. We wszystkich kanałach telewizyjnych pokazywano głównego ekonomistę, który powtarzał jak mantrę, że nie ma powodów do paniki, i że nagły wzrost cen żywca ma charakter spekulacyjny, całkowicie niezwiązany z rzekomą „dziurą żywnościową”.

– Oho, zaczyna się – mruknął Klocek, tuląc się do swojej strzelby w fotelu bujanym na ganku.

– Taaaaak... Wkrótce zwali się tu pół miasta. – Rafał nigdy nie był przesadnym optymistą, i teraz także nie zamierzał nim być. – Przygotujmy się na najgorsze. To nie będzie jak zeszlotygodniowy atak królika. To będzie coś dużo, dużo gorszego...

– Apokalipsa zombie – uzupełnił Kloc, próbując wydłubać kikutem z nosa martwą tkankę. Rozerwał tylko jakiś torbiel, z którego wylała się cuchnąca, żółta ropa z krwawymi skrzepami.

Rafał zszedł z ganku i stanął do nich przodem.

– Towarzysze! Niebawem przyjdą odebrać nam nasze plony, owoce naszej ciężkiej pracy! Ale nie oddamy ich tak łatwo! Mamy broń i będziemy się bronić!

– Mamy też broń, gdyby to cokolwiek zmieniało – szepnął Klocek,

oblizując kikut z ropy.

– Fuj, jesteś obrzydliwy! – jęknął Adam, widząc to. – Wziąłbyś chociaż chusteczkę!

Z oddali dało się słyszeć narastający wrzask. Nikt nie miał wątpliwości, co do jego źródła. Był to wrzask tysięcy głodnych, przegniłych, martwych gardeł. I już po chwili ujrzeli wynurzające się z mroku, rozczapierzone dłonie jak szpony, pokryte strupami i sine niczym u topielca.

Pierwsza fala zombie zatrzymała się na palisadzie. Zaostrzone żerdzie wnikały w ich ciała, jak w masło. Dziurawiły, rozrywały, przesywały i szarpały. Ciała drgały, groteskowo zawieszane na palikach. Sam atak nastąpił tak szybko i niespodziewanie, że obrońcy farmy nadal stali na ganku, obserwując to drastyczne, krwawe widowisko.

Rafał ocknął się jako pierwszy. Podbiegł do drewnianej wajchy połączonej z kołem wprawiającym w ruch mechanizm opuszczania beczki. Zwykle w beczce była woda, która wlana do kanalików irygacyjnych, nawadniała całe pole. Tym razem nalali tam oleju zaś znicze rozstawione w kanalikach, wzdłuż ogrodzenia, miały zapewnić zapłon. Tak też się stało.

Druga fala zmieniła się w wielkiego, płonącego węża, próbującego staranować palisadę razem z płotem. Wrzask płonących pełen był bólu i rozpacz, choć zdawać by się mogło, że zombie nie czują ani bólu, ani tym bardziej rozpacz.

W końcu przedarli się i pojedyncze, płonące ciała, przeczołgiwały się pomiędzy belkami drugiej palisady. Stopiona skóra spływała z nich całymi płatami obnażając nagie, poczerniałe kości, ale zombie wciąż pełzły i pełzły,

szczerząc swe pozbawione warg i policzków szczęki.

– Do boju! – ryknął krótko Rafał, ściskając w dłoni toporek strażacki. Nie zostało bowiem nic innego, jak tylko bezpośrednia walka z przytłaczającymi siłami wroga.

Pierwszy padł Adam, który pozbawiony nóg, stanowił najłatwiejszy cel. Zombiaki oderwały mu ręce i rozszarpały zębami gardło. Adam żył jeszcze. Prosił, by ktoś mu pomógł. Zapewniał, że nic mu nie jest, jednak w zgiełku bitewnym zniknął gdzieś pod stosami trupów, kończyn i kości.

Później poległ Klocek, któremu Sztywny rzucił strzelbę. Ta jednak zachaczyła o coś w powietrzu i wystrzeliła Adamowi prosto w twarz. Jego głowa zmieniła się w coś, co przypominały upuszczoną na podłogę miskę ćwikły.

Nad ranem pobojuwisko wyglądało okropnie. Wszędzie walały się ciała w większym lub mniejszym stopniu zmasakrowane. Część z nich była spalona. Wiele nosiło ślady obrażeń od toporka czy postrzałów ze strzelby. Inne wyglądały jak stratowane przez tłum. Jednej kobiecie z rozwartej gardzieli makabrycznie sterczała kość piszczelowa, zupełnie jakby ktoś wdepnął jej w twarz, a następnie odszedł, zostawiając strzaskaną kończynę.

Gdzieś nad tym wszystkim, na dachu domu, siedział Rafał, któremu chyba tylko cudem udało się przeżyć oblężenie. Cały pokryty był gnijącą krwią, ropą i ekskrementami, które obficie chlapały po ciosach zadawanych toporem w brzuchy. Smród zgnilizny był tak duży, że już wkrótce zaroilo się od bezdomnych psów, jeszcze kilka dni wcześniej ukrywających się, jakby przeczuwały, że mogą przeistoczyć się w smalec i tuszonkę. Teraz wyszły

z ukrycia na żer.

Świat należał dawniej do dinozaurów. Potem do ludzi, i w końcu do zombie. Wszystko wskazywało na to, że teraz świat miał należeć do bezdomnych psów – pomyślał sobie Rafał.

Chciał zejść, by dokonać inwentaryzacji swoich warzyw, jednak kiedy podnosił się, zahaczył resztą lewego jądra o łebek papiaka wystającego z dachu i... oderwał je. To był definitywny koniec. Nawet jeśli przeżyła jakaś kobieta, nie miał już najmniejszych szans, na przedłużenie gatunku...

Urząd

Pojawili się u mnie zupełnie niespodziewanie. Wyszedłem z łazienki, w kapciach i szlafroku. W moim salonie, przy moim własnym śniadaniu i kawie, siedziało trzech mężczyzn, w całkowicie szarych, pozbawionych wyrazu garniturach.

– Dzień dobry – powiedziałem.

– Dzień dobry – odpowiedział jeden z nich, nie odrywając oczu od telewizora.

Drugi kończył właśnie jeść moją jajecznicę, co od razu sprawiło, że poczułem się jeszcze bardziej nieswojo. Ich twarze były nijakie, i nie wyrażały żadnych emocji. Mógłbym przysiąc, że już nazajutrz miałbym trudności z opisaniem ich.

– Czy mogę jakoś pomóc? – postanowiłem podtrzymać kontakt.

– A tak, przepraszam. – Ten od jajecznicy wstał i otrzepał się z okruszków pieczywa. Następnie podszedł do mnie z wyciągniętą ręką. – Biliński moje nazwisko, a to są panowie Brzezowski i Krzyński.

Mężczyźni skłonili się uprzejmie, choć widać było, że to jedynie starannie wyuczony gest, za którym nie kryły się żadne emocje.

– Jesteśmy urzędnikami – kontynuował Biliński.

Uścisnąłem jego dłoń z niechęcią. Tego, że miałem do czynienia z urzędnikami, domyśliłem się niemal od razu. Trudno było pomylić ich z kimkolwiek innym. Z jakim jednak typem urzędników miałem do czynienia, mogłem się jedynie domyślać. Wszyscy starali się wyglądać i za-

chowywać jednakowo, aby przypadkiem nie spłoszyć człowieka na wstępie.

– Dobrze zatem – powiedziałem. – Widzę, że już się panowie rozgościli. Kawy i śniadania nie muszę proponować. Co najwyżej dolewkę. Sam też chętnie się napiję, bo jeszcze nie zdążyłem.

Spojrzałem na moją filiżankę, która w tej chwili znajdowała się w dłoni Brzezowskiego.

– Oczywiście, proszę się nie krępować – odparł Biliński. – Jest pan u siebie. Zresztą mamy jeszcze trochę czasu, więc niech pan sobie spokojnie pozajątwia swoje sprawy.

– Czy zechcieliby panowie pokazać mi jakieś legitymacje, nakaz czy coś w tym rodzaju? Jaki jest cel tej miłej, acz nieoczekiwanej wizyty?

Postanowiłem, że tanio skóry nie sprzedam. Biliński uśmiechnął się i zbył moje pytanie niedbałym machnięciem ręki.

– Spokojnie. Bez tej wiedzy pana nie pochowamy. Taki żarcik.

Poszedłem do kuchni, niby po kawę, jednak prawdziwym moim celem był kalendarz ścienny, wiszący za drzwiami. Był poniedziałek, szesnastego października. Tydzień wcześniej osiągnąłem wiek pomostowy, który uprawniał urząd emerytalny do przesunięcia mnie na spoczynek. Oznaczało to, że najprawdopodobniej to właśnie oni siedzieli właśnie w moim salonie.

Poczułem nagłe uderzenie gorąca. Jak mogłem to przeoczyć? Przecież miałem urodziny... No tak, spędzałem je w samotności i nikt mi nie przygadywał. Jeszcze w sierpniu zastanawiałem się nad tym, co zrobię, kiedy po mnie przyjdą. Zamierzałem przygotować plecak ucieczkowy, zdobyć jakąś nielegalną broń, ratować się. Cholera jasna, umknęło mi. Uciekło!

Wyjrzałem przez okienko kuchenne. Urzędnicy nadal gapili się w tele-

wizor, jakby to, co gadają w śniadaniówkach, przedstawiało sobą jakąkolwiek wartość. Widocznie byli przeszkoleni w tym, by potrafić zupełnie bezmyślnie zainteresować się czymkolwiek, dla zabicia czasu.

Nóż! Gdzie ten cholerny nóż? Wszystkie miałem zaokrąglone, tak jak nakazuje prawo. Ale jeden miałem taki stary, ostry. Był w rodzinie od lat. Miał drewnianą rączkę i ojciec tyle razy go ostrzył, że głownia stała się wąska jak w nożu do filetowania.

Zachowałem go, bo już takich nie robili. A przecież czasem człowiek potrzebuje coś ukroić i... Znalazłem! Leżał na dnie szuflady z różnościami. W razie kontroli, pewnie i tak by go odkryli, ale bardzo starałem się nie dawać im nawet pretekstu do odwiedzin. Zawsze byłem przykładnym obywatelem. Tylko myśli miałem nieprzykładne, ale zostawiałem je dla siebie. Tylko do nich jeszcze nie mogli się dostać. A przynajmniej taką miałem nadzieję.

Ścisnąłem nóż w garści i stanąłem za drzwiami. Urzędnicy nadal oglądali śniadaniówkę. Tak naprawdę mogłem spróbować wybiec z mieszkania, bo do drzwi wejściowych było mniej więcej tak samo blisko, jak do salonu. Jednak nie miałem koncepcji na to, co miałyby wydarzyć się dalej. Mógłbym wybiec na klatkę w kapciach, pidżamie i szlafroku, ale co później? Pierwszy lepszy sąsiad zadenuncjowałby mnie w odpowiednim urzędzie. Nie minęłoby kilkadziesiąt minut, a znalazłbym się w jeszcze gorszym szambie.

Zabicie urzędników, dałoby mi trochę czasu na przygotowanie ucieczki. Skoro przesunięto mnie na spoczynek, nikt nie oczekiwał mnie w pracy. Za to ich tak. Gdyby nie pojawili się z powrotem w ciągu kilku godzin, pewnie ktoś zacząłby się niepokoić, dzwonić.

– Wszystko w porządku? – usłyszałem głos z salonu.

– Tak, tak, szykuje kanapki! – powiedziałem szybko. Trochę za szybko. Nie była to najbardziej fortunna odpowiedź, ale gdybym zbyt długo milczał, mogliby wpaść na pomysł, żeby przyjść tutaj i sprawdzić, co robię.

A może to było rozwiązanie? Może gdybym wywabił jednego z nich... Czy mieli broń? Wychyliłem się z okienka. Nie wyglądali na uzbrojonych, choć cholera ich tam wie, co pod tymi marynarkami kryli. Brzezowski stał przy oknie i podziwiał widok z dziesiątego piętra. Dwaj pozostali nadal wpatrzeni byli w telewizor. Dobry, duży telewizor.

Swoją drogą szkoda tego wszystkiego, tego mieszkania, mebli, sprzętu. Człowiek wije sobie gniazdko, zaharowuje się na śmierć i nagle trzeba to wszystko zostawić i wyjść.

– Już się tak pan nie napycha – powiedział niecierpliwie Biliński. – Nie mamy całego dnia.

Teraz albo nigdy.

– Czy mógłbym prosić tutaj jednego z panów? – zawołałem i ustawiłem się z nożem za drzwiami, licząc na łut szczęścia.

– Idź zobacz, czego tam chce – usłyszałem.

Kiedy drzwi uchyliły się, zadałem cios na ślepo. Krzyński zrobił błyskawiczny unik, wykręcił mi rękę i wytrącił nóż z taką łatwością, jakby robił to na co dzień.

– Panie! Co pan? – warknął. – My nie na takie interwencje chodzimy! Lepiej nie świruj, tylko wyskakuj z kapci i ubieraj się.

– Co jest? – do kuchni wpadł Biliński.

– Z nożem mi tu wyskoczył – zreferował krótko urzędnik.

– Dobra, koniec tych żartów. Pan się ubiera i wychodzimy.

Na dole czekał nieoznakowany samochód. Oczywiście zupełnie pozbawiony polotu, mocno zaniedbany i brudny. W normalnych okolicznościach mógłbym pomyśleć, że to prywatne auto jednego z tych facetów, ale to nie były normalne okoliczności.auta służbowe urzędników wyglądały tak, aby nikt nie zorientował się, że to auta służbowe urzędników.

Mnie usadzili z tyłu, z Krzyńskim. Brzezowski i Biliński wsiedli do przodu i zapięli pasy, jak przykładni obywatele.

– Panowie, a może tak chociaż słówko wyjaśnienia? Co zrobiłem? O co chodzi? Kim jesteście?

– Moglibyśmy powiedzieć, ale wtedy musielibyśmy pana zabić – uśmiechnął się Biliński. – A tłumaczyć się, to może pan, z tego. – Pokazał mi worek strunowy z nożem. – Jedziemy Brzezowski.

Wóz ruszył, i od tej pory milczeliśmy już wszyscy. Oni, bo wykonywali swoją robotę. Ja, bo gorączkowo kombinowałem, jak wydostać się z tej matni. Wiedziałem już, co Krzyński potrafił zrobić gołymi rękami. Skoro zajmowali się, jak to określili – interwencjami – z pewnością wszyscy byli doskonale przygotowani fizycznie. W dalszym ciągu nie wiedziałem jednak nic na temat ich uzbrojenia. Nie wiedziałem także dokąd mnie wieźli, choć widok zza okien sugerował, że jednak nie do centrum. Wręcz przeciwnie, kierowaliśmy się na przedmieścia – może tam właśnie dla niepoznaki mieściła się ich siedziba.

– Dokąd jedziemy? – zapytałem, wierząc naiwnie, że może tym razem się uda.

Jedyną reakcją było ukradkowe spojrzenie, jakie prowadzący Brzezowski rzucił Bilińskiemu. Zauważyłem, że wraz z chwilą opuszczenia apartamentu, urzędnicy stali się mniej uprzejmi i niemal wcale się nie odzywali. Nie zależało im już tak bardzo na stwarzaniu pozorów. Mieli mnie, i nie mogłem już nic zrobić.

Minęliśmy tablicę z przekreśloną nazwą miasta.

– Panowie, o co tu chodzi? Dokąd jedziemy?

– Proszę się nie awanturować – odparł Biliński – bo będziemy musieli zastosować środki przymusu bezpośredniego. Szkoda by było psuć taką dobrą atmosferę.

– Wyjechaliśmy z miasta! Żądam wyjaśnienia! Dokąd jedziemy? – Zacząłem się szarpać i walić pięściami w zagłówek.

Brzezowski zjechał na pobocze, Biliński wysiadł i otworzył moje drzwi. Potem wraz z Krzyńskim okładali mnie pięściami przez dobrą minutę. Kilka razy dostałem naprawdę solidnie w twarz, i w głowę. Potem drzwi zostały zamknięte z trzaskiem i ruszyliśmy dalej.

Zatrzymaliśmy się przed bramą z drucianej siatki. Wisiała na niej tablica „Rezerwat. Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Biliński wysiadł i odchylił jedno skrzydło, a wóz powoli wtoczył się na teren rezerwatu.

Nigdy nie słyszałem, by w okolicy miasta znajdował się jakiś rezerwat.

Nie miałem też żadnej koncepcji na wyjaśnienie tego, dlaczego właściwie przywieźli mnie akurat tutaj. Przez chwilę łudziłem się, że być może przyjdzie mi spędzić resztę życia na łonie natury, w lesie, na terenie ogrodzonego rezerwatu. Ale to byłoby zbyt piękne, żeby było możliwe.

Przez las jechaliśmy jeszcze dobre piętnaście minut. W końcu wóz zatrzymał się przed czymś, co wyglądało na stary, pamiętający czasy PRL ośrodek wczasowy, z przeszkloną stołówko–świetlicą. Biliński i Brzezowski wysiedli. Krzyński rozpiął mi pasy, ale sam czekał w samochodzie, aż tamci dwaj podejną do moich drzwi.

Kiedy znalazłem się na zewnątrz, wciągnąłem głęboko do płuc świeże, leśne powietrze, pachnące żywicą iglaków.

– Proszę. – Biliński wskazał mi główne wejście. – Jacku odstaw auto. My już zaczniemy wypełniać papiery.

A więc teraz w końcu się dowiem, o co w tym wszystkim chodzi! Może w środku czeka ktoś postawiony wyżej, kto będzie upoważniony do udzielenia mi wszelkich, niezbędnych informacji. W końcu zwykli, szeregowi urzędnicy to tylko pionki, wykonawcy. Niczego nie mogą i do niczego nie są upoważnieni.

Gorycz rozczarowania przeżyłem, gdy wprowadzono mnie na świetlicę i posadzono na krześle. Biliński usiadł przy stoliku, na którym leżała przygotowana wcześniej sterta papierów. Otworzył jedną z teczek. Krzyński usiadł przy wyjściu, po chwili pojawił się także Brzezowski i usiadł obok.

– I oto jesteśmy – zaczął Biliński – na ostatniej prostej.

Przewertował zawartość teczek gwizdząc bliżej nieokreśloną melodię. W pewnym momencie chwycił pióro leżące obok, otworzył je i podpisał coś.

– W porządku. To wszystko.

Brzezowski i Krzyński wstali i podeszli do mnie.

– Już? Czy mogę się dowiedzieć, o co tu kurwa chodzi? – krzyknąłem.

– Wywlekacie mnie z domu, bez żadnych wyjaśnień! O co chodzi?

Krzyński szarpnął mnie za ucho, zmuszając do wstania. Wskazał mi ręką wyjście. Chciałem nawet rzucić się biegiem, ale wciąż miałem nadzieję, że cokolwiek się w tej sprawie wyjaśni. Może jednak nie byli z emerytalnego, może doszło do jakiejś pomyłki?

Ruszyłem w stronę korytarza, w którym stara tapeta odłaziła całymi płatami od ścian. W moim rodzinnym domu też była taka tapeta, gdy byłem mały. Jeszcze za komuny. Gdybym miał obstawiać, ośrodek musiał być oryginalny, peerelowski. Na pewno rządowy.

– Jesteście z urzędu emerytalnego, tak? To jedyne, co choć trochę trzyma się kupy.

Urzednicy milczeli. Szli dwa kroki za mną. Z przodu ukazały się schody w dół i okno wyglądające na las. Wyszliśmy na tyły budynku, na werandę, która otoczona była niskim, metalowym płotkiem. Dalej znajdowały się przerdzewiałe pozostałości placu zabaw i leśna ścieżka, pokryta igliwem i szyszkami.

– W referendum poparłem reformę systemu emerytalnego. Wydawało mi się to sensownym wyjściem – powiedziałem, bardziej do siebie. – Co pożylem, to moje. Jak rozumiem, moim największym przewinieniem jest bezdzietność.

Nie odpowiedzieli. Las też był cichy. Od czasu do czasu ciszę tę przerywało stukanie dzięcioła. Pomyślałem sobie, że mógłbym tutaj zostać.

Nawet pożałowałem, że nigdy wcześniej nie bywałem w takich miejscach.

– Nie mam nic przeciwko dzieciom. Po prostu jakoś tak się złożyło – mówiłem dalej, choć zdawałem sobie sprawę z tego, że nikt mnie nie słucha. – Ciągle odkładałem nawiązanie jakiegoś poważniejszego związku... Chyba zbyt dobrze mi szło w życiu.

W końcu stanąłem jak wryty. Ujrzałem kres naszej drogi – dół głęboki na półtora metra, o wymiarach dorosłego człowieka. Pomyślałem, że za chwilę kula rozerwie moją potylicę, ale nie działo się nic. Odwróciłem się. Brzezowski i Krzyński trzymali w dłoniach maczety.

– Tu się rozstaniemy – powiedział któryś z nich. Nie odnotowałem nawet który, bo nagły skok ciśnienia przyćmił moją świadomość. Słyszałem swoją pulsującą krew. W ustach zrobiło się sucho. Nie czułem ciała. Ogarnęło mnie całkowite odrętwienie, duszność i zawroty głowy.

– Zaczekajcie! – zdążyłem jeszcze krzyknąć.

Zaczęli jednocześnie. Ciosy spadły na twarz, na obojczyk, na ramię. Siła była tak duża, że padłem na kolana. Poczułem potworny ból, ale kolejne ciosy odbierałem już bardziej jak szarpnięcia, gdy oprawcy wyciągali ostrza z ciała. Widziałem na ziemi mnóstwo krwi. W końcu zepchnięto mnie do dołu i zaczęto przysypywać ziemią.

Pragnąłem tylko, by to się skończyło, ale ja żyłem nadal. Ziemia wpadała mi do ust i do oczu. Nie mogłem się poruszyć...

Kiedy otworzyłem oczy, byłem znów w świetlicy ośrodka, przywiąza-

ny do krzesła. Biliński, Krzyński i Brzezowski przyglądali mi się uważnie. W końcu jeden z nich podszedł i zaświecił mi latarką w oczy. W dłoni trzymał pustą strzykawkę. Musieli mi coś podać.

– Zaczynamy od nowa – powiedział Biliński. – Skąd miałeś nóż?

Milczałem. Nie mogłem dość do siebie. Krzyński przywalił mi otwartą dłonią w twarz, abym oprzytomniał.

Worek strunowy z nożem leżał na stole. Przypomniała mi się interwencja i mój nieudany atak. Odetchnąłem z ulgą. To nie był urząd emerytalny...

To tylko tajna policja.